

Z niepokojem oczekiwali rodzice mego zjawienia się na świecie — pierwszego ich syna, półtorarocznego Kotusia, zabrał *dyfteryt*. Niestety to miało miejsce, gdy matka moja spodziewała się następnego dziecka. Być może z powodu wycieńczenia tak wielkim ciosem jej organizmu, urodzony

30 sierpnia 1903 mój starszy brat — Jan Bożydar — był niezmiernie wątłym i słabym dzieckiem.

Obawy o zdrowie następnego syna okazały się niepotrzebne. Byłem ogromny i silny

— natychmiast po urodzeniu [w grudniu 1904] napełniłem dom zdrowym wrzaskiem.

Dobrano mi dorodną karmicielkę, Hankę, która widocznie — razem z obfitością życiodajnego mleka — przekazała mi całą moc gorącego serca, co miało przysporzyć mi w przyszłości niemało kłopotów.

Potem, w półtorarocznych odstępach, urodziło się jeszcze dwóch moich braci — Jerzyk i Antek. Nadzieje rodziców na urodzenie się córki nie mogły się jakoś spełnić.

W 1910 roku ojciec mój kupił majątek w Kieleckiem, Bobrowniki. Jednym z pierwszych wydarzeń, które utkwiły mi w pamięci, była podróż wielką kareta z położonego w Sandomierskiem Lipnika — majątku matki mego ojca, Marii z Łaskich Bzowskiej, do nowo nabytych Bobrownik.

Mimo swej niezwyklej dobroci i łagodności, babka moja odbywała tę podróż w niezbyt pogodnym nastroju. Kochając do szaleństwa swego jedyne go syna, mego ojca, była niezadowolona z naszych przenosin w okolice oddalone od rodzinnego Lipnika. Pełna była najgorszych obaw — przepływająca obok bobrowskiego dworu Pilica stanowiła według niej niebezpieczeństwo wylewów wiosennych i potopienia się wnuków, dom w Bobrownikach wydawał się zbyt ciasny dla tak dużej rodziny...

Z Lipnika do Bobrownik było około 180 kilometrów. Jechaliśmy ciężką kareta zaprzęzoną w cztery konie, którą powoził zaufany furman Michał. Babka nieustannie się o coś niepokoiła: czy nie pobłądzimy, czy nie zawałą się liczne po drodze mostki, czy zła droga pozwoli nam na bezpieczne dotarcie do celu. Jechaliśmy dwie doby, z noclegiem w Kielcach. Można było z pewnością odbyć drogę znacznie wygodniej pociągiem, ale moja babka tego „diabelskiego środka lokomocji” nie uznawała i do końca życia pociągiem nie jeździła.

Tak więc cała ta podróż odbywała się w dość ponurym nastroju. Babka miała swoje powody do zmartwień, ale miałem je i ja. Musiałem siedzieć wewnątrz karety, a nie na wysokim koźle obok Michała, nie mogłem patrzeć na konie, trzymać dużego bata, oglądać nowych okolic. Dręczyło mnie to całą drogę i chyba z tej rozpaczy usnąłem... Obudziłem się, kiedy pozostało może jeszcze trzydzieści kilometrów. Noc była ciemna i nic nie widziałem, ale doszedł do mnie jakiś hałas i gwar. Okazało się, że zaniepokojony naszym spóźnieniem ojciec wyjechał nam naprzeciw. Przesiadł się do naszej karety, a kilku ludzi z pochodniami oświetlało drogę.

Cieszyłem się z obecności dawno nie widzianego ojca, a i babka przestała narzekać. Niedługo potem zaturkotały koła na podjeździe przed oplecionym dzikim winem, jasno oświetlonym gankiem. Byłem w domu.

Bobrowniki położone były w najpiękniejszej okolicy Kielecczyny — nad Pilicą, której kryształowo czyste wody nie przesłaniały widoku dna wysłanego miękkim, jasnym piaskiem. Rzeka, spokojna, o szerokich mieliznach, potrafiła stawać się groźna w okresach wiosennych roztopów czy letnich przyborów wody w czasie ulewnych deszczów. Wiła się pośród łąk i lasów, faliste ukształtowanie terenu dodawało uroku. We wszelkich trudach i kłopotach — bo gdzież ich nie ma? — można było znaleźć pociechę w cudach tej bajkowej natury.

Wystarczyło wyjść wieczorem na rozległe łąki, ujrzeć wstającą z nich mleczną mgłę, posłuchać grania świerszczy i kumkania żab na otulonych krzakami jeziorkach — i w udręczoną duszę człowieczą wstępowała cisza i ukojenie.

Dwór bobrowski — drewniany, długi, z przedzielającym dwie jego części gankiem — był jasny, ciepły i przytulny. Stropy modrzewiowego dworu były belkowane — na jednej z nich, w jadalnym pokoju, widniała prymitywnie wyrzeźbiona data: A.D. 1733. Widocznie jednak nie tylko świat był wówczas inny, nie tylko ludzie lepsi, ale i budulec trwalszy, bo kiedy po zawaleniu się starego świata osierocony dwór-staruszek został rozebrany [w 1945 roku], modrzewiowe belki, liczące sobie wówczas 212 lat — okazały się tak zdrowe, że zostały zużytkowane przez okoliczną ludność na budowę nowych domów.

Nic nie pozostało po starym dworze, którego białe ściany błyszczały wśród zieleni, wyłoczone słońcem w pogodne dni. Gdzie w jesienne wieczory przy naftowych lampach ojciec przez długie godziny czytał *Trylogię* Sienkiewicza zasłuchanym chłopcom, przy akompaniamencie szumu samowara i koncertujących w belkach świerszczy-muzykantów...

30 sierpnia 1910 miał miejsce wielki rodzinny ewenement. Urodziła się wymarzona córka — Marychna, co skoncentrowało uwagę całego domu na tej tłustej i mocno wrzaskliwej istocie.

Dla nas — starszych braci — fakt ten nie miał większego znaczenia. Może tylko — korzystny z naszego punktu widzenia — skutek w postaci nieco mniejszej kontroli naszych poczynań.

Po czterech latach rodzina powiększyła się jeszcze o jedną osobę — w marcu 1914, na pół roku przed wybuchem pierwszej wojny światowej, urodziła się moja najmłodsza siostra, Teresa Marta. Urodzona w dniu wielkiego pożaru wsi, była tak wątła i słaba, że obawiano się o jej życie. Ochrzczona też została natychmiast z wody, a przy tej przyśpieszonej ceremonii byłem jej „wodnym” chrzestnym ojcem. Później odbył się prawdziwy chrzest w parafii, w Stanowiskach, gdzie do chrztu trzymali ją: żona

ciotecznego brata ojca, Józefa z Miłbergów Kławerowa i stryj ojca, Stefan Bzowski, powstaniec 1863 roku.

W Bobrownikach rozszerzył się znacznie widnokrąg naszych zainteresowań. Dotychczas światem naszym był wspaniały i troskliwy ojciec, piękna, zawsze wytworna i o coś się niepokojąca matka, wszechwiedzący furman Michał Mirecki oraz nasza liczna gromadka.

Najbliżej położonym na północ od Bobrownik majątkiem były Stanowiska, należące do Eugenii z Czaplickich i Ireneusza Laskowskich. Dwór otoczony był ogromnymi białymi drzewami, w których każdej wiosny lęgło się tysiące gawronów. Dom niezbyt wielki, trochę ciemny i wilgotny, bo tuż przed nim, w ogrodzie znajdował się staw zarosnięty gęstą rzęsą, wśród której pokazywały się nieraz budzące w nas obrzydzenie szczury wodne. Reniowie Laskowscy mieli troje dzieci.

Nieco dalej na północ położony był majątek Stefanów Grabowskich — Rączki, z trzema folwarkami i dużym kompleksem lasów. Dwór w Rączkach był dość obszerny, nieładny architektonicznie i dość stereotypowo urządzony, ale majątek zagospodarowany bardzo dobrze. Właściciele — rządni, gospodarzni, oszczędni w życiu codziennym, ale niezmiernie gościnni dla zjawiających się w uroczystości rodzinne gości. Dzieci w Rączkach było troje.

Na południowy wschód od Bobrownik położony był majątek Maksymiliana i Janiny z Fuldów Konarskich, ze ślicznym, starym dworem i parkiem. W Kluczewsku chowała się trójka dzieci.

Dwór w Bobrownikach był niewielki. Rodzice, liczna gromadka dzieci, ich opiekunowie i służba domowa wypełniały go całkowicie. A przecież przybywali do Bobrownik liczni goście — rodzina ojca i matki, znajomi i przyjaciele. W takich wypadkach zaludniała się również położona opodal dworu oficyna, w której było pięć dodatkowych pokoi. Oficyna ta była potem kolejno zajmowana przez rządcę, który po przeniesieniu domu do Warszawy administrował majątkiem, później zaś mieszkali tam dzierżawcy. Stopniowo poczciwy „stary dwór” przestał pełnić rolę głównego domu. W czasach, kiedy gospodarowałem w Bobrownikach, również mieszkalem w oficynie, ponieważ w starym dworze w okresach jesienno-zimowych trudno było dogrzeć pokoje. Najwierniejsza dworowi pozostała moja najmłodsza siostra Teresa, która do ostatniego roku swych przyjazdów do Bobrownik mieszkała w czasie wakacji — przeważnie samotnie — w nie zamieszkałym już właściwie domu. „Duchów”, o których krążyły legendy, nie bała się, towarzystwa dotrzymywały jej psy.

W tamtych jednak czasach gwaro było w modrzewiowym dworze.

Czwórka nas, chłopców, prowadziła swoje własne „męskie życie”. Na młodsze siostry nie zwracaliśmy większej uwagi. Życie posiadało dla nas tyle uroków: kuce, na których odbywaliśmy dalekie wyprawy, zdobycie nowego psa, zwiększające i tak dość pokaźną liczbę ulubionych czworonogów, rozmówki z Michałem-stangretem, będącym dla nas wówczas najwyższym autorytetem, wdrapywanie się na wysokie drzewa w pogoni za wiewiórkami...

Były też i nieprzyjemne wydarzenia. Jednym z nich było bardzo poważne sparcenie przez Janka nogi — bosą stopą stanął na kawałku rozpalonego do białości żelaza. Niefortunnym bohaterem następnego wypadku stałem się ja. Powstał zakład, czy zdołam połknąć ugotowane na twardo, obrane, kurze jajko. Braciszkwowie z całym staraniem wybrali odpowiednio duże jajko. Wygranie zakładu przekroczyło moje możliwości — przeszkoda stanęła w gardle i zacząłem się dusić nie na żarty. Przerażony, na oślepie machnąłem ręką i zrzuciłem dużą lampę naftową. Płonący strumień nafty popłynął w kierunku szafy. Powstał ogólny krzyk — moment był pełen grozy! Dusłem się, więc musiano mnie ratować, a jednocześnie gasić ogień. Jakimś cudem zgnieciono jajko tkwiące w moim nieszczęsnym gardle, co pozwoliło mi zaczerpnąć powietrza. Tymczasem zaczęły się już palić firanki. Ostatecznie pożar ugaszono, a ja poniosłem karę — przez dwa tygodnie nie mogłem jeść i trudno było mi mówić. Niezależnie od tego — wyrokiem najwyższego w Bobrownikach trybunału, czyli ojca — pozbawiono mnie prawa siadania na kuca na okres trzech miesięcy, co było bardziej dotkliwą karą niż przeżyty ból i strach.

Do niezliczonych naszych przestępstw doszła jeszcze sprawa o zabójstwo wspaniałego, importowanego indora. Najmłodszy brat, Antek, rzucił kamieniem w znienawidzone przez nas ptaszysko. Skutek — może nawet nie zamierzony — był iście tragiczny. Wielkie cielsko indyka legło bez ruchu na żwirze podwórza. Posiadający najlepsze z nas serce Jerzyk usiłował ratować ptaka, taszcząc go z wysiłkiem pod studnię i polewając wiadrem zimnej wody. Zajęty tą akcją ratowniczą, daremną zresztą, nie zauważył zbliżającego się zagrożenia. Natomiast Antek, dojrawszy kątem oka nadchodzącego ojca, zemknął w rosnące za kurnikiem pokrzywy. A że — jak mówi przysłowie — „każdy dobry uczynek ma swoją zasłużoną karę”, ojcowska dłoń zdołała dosięgnąć tylko Jerzyka. Jak zawsze solidarny, karę poniósł, a winowajcy nie wydał.

Zdarzyło się, że zabolął mnie ząb. Całą noc nie spałem. Nie pomagał karbol, a nawet dokonane przez starą kucharkę Basię, w tajemnicy przed rodzicami, „zamawianie”.

Rano posłał więc ojciec konie do Krzętowa po „wirywacza zębów”. Przyjechał chłop ogromny i ponury. Wyjęte przez niego z torby narzędzie z owiniętą niezbyt czystą szmatką rączką (tzw. lewarkiem) — przeraziło asystujących domowników. Chłop przejęty ważnością chwili i nieco speszony licznym gronem widzów — zgodził się po dłuższej namowie na wydezynfekowanie lewarka i zamianę szmatki na czystą. Ojciec wziął mnie na kolana. Trzymając mnie mocno, kazał otworzyć usta. Przerażające narzędzie zostało użyte. Ból straszny! Wrzask mój i — jednocześnie prawie — krzyk mojego oprawcy, w którego plecach utkwiał widelec, wbity z zemsty za sprawiony mi ból małą, ale mocną rączką mego młodszego brata, Jerzyka.

Chłop otrzymał szklanę spirytusu i dziesięć rubli, co złagodziło jego pretensję. Jerzyk otrzymał klapsa za swój uczynek. Mój wyrwany ząb został triumfalnie i komisyjnie wrzucony do norki myszy.

Jerzyk, poważny i skupiony, miał bardzo dobre serce, ale nigdy nie przepuszczał krzywdy, jaką — w jego pojęciu — ktoś wyrządził bądź chciał wyrządzić komuś z rodzeństwa. Kiedyś ofiarą jego solidarności padł zacny ksiądz Ekiert.

Było to w czasie Bożego Narodzenia. Pod ubraną choinką leżały przeznaczone dla nas prezenty. A było tego wiele — przed świętami szły wozy do Włoszczowy po wielkie paki upominków od całej rodziny. Tego roku musiał jechać nawet wielki wóz zaprzężony w cztery konie po wspaniały prezent dla rodziców od pani Kalinowskiej — fortepian Kerntopfa.

Po wili wpuszczono nas do pokoju, gdzie jarzyły się świeczki na sięgającym do sufitu świerku. Dzieci otrzymały swe prezenty jako pierwsze. Jerzyk, prócz różnych upominków, dostał cały zestaw dzieciennych narzędzi ogrodniczych. Każdy z nas z zachwytem oglądał swe prezenty.

W pewnej chwili siedzący na niskim czerwonym foteliku ksiądz Ekiert wziął do ręki wóz strażacki, przeznaczony dla najmłodszego brata, Antka, podczas gdy ten zajęty był oglądaniem innych prezentów. Widząc rzecz należącą do brata w rękach księdza, Jerzyk powiedział spokojnie, ale bardzo stanowczo: „*Nie rusz! (nie rusz), nie wolno!*”. Ksiądz nie zwrócił uwagi na przestrożę i zaczął pokazywać komuś zabawkę. I nagle — krótki świst i lekki krzyk prałata. Jerzyk w obronie Antkowej własności uderzył księdza po rękę otrzymaną przed chwilą łopatką ogrodniczą. A potem powiedział spokojnie:

„*A mówiłem - nie lusiać!...*”.

Dostawało nam się nieraz od rodziców i opiekunów, ale posłuszeństwo nigdy nie było naszą mocną stroną. Kary od rodziców znosiliśmy bez specjalnego buntu, natomiast z opiekunami było gorzej. Nasza Niemka, panna Fryda, w wyniku jakiejś sprzeczności zdań, zakończonej gwałtowniejszym akcentem, została przez kochanych chłopaczków przywiązana sznurami do bujanego fotela. Tak starannie okręciliśmy ją w tej siedzącej

pozycji, że dopiero pomoc starszych uwolniła męczennicę. Prawo do karcenia nas miał w zasadzie tylko ojciec, matka zajmowała raczej zwykle pozycję obronną — starała się nam tłumaczyć bądź oddziaływać na poprawę naszych burzliwych charakterów przez cowieczne spisywanie z nami „złych i dobrych czynów”.

Trudno już wyliczyć nasze dziecięce przewinienia — najdziwniejsze pomysły lęły się w naszych głowach. Razem z nieodłączną gromadką wiejskich chłopaków, z własnymi kucami i psami, tworzyliśmy swój świat, do którego starsi niewielki mieli dostęp.

Nienawidziliśmy wszystkiego, co krępowało naszą swobodę. Pierwszą z tych rzeczy był obowiązek mycia się, uważany za gwałt zadawany nam przez starszych. W normalne dni można było, przy zastosowaniu różnych sposobów, od tego się wykręcić. Natomiast sobotnie ablucje, w czasie których szorowano nas bez żadnej litości i względów — były nie do uniknięcia.

Jeszcze gorsza była niedziela. Wystrojeni od rana w ubranka z nakrochmalonymi kołnierzykami, w znieawidzone buty, z wyszczotkowanymi włosami, siadaliśmy na bryczkę, aby udać się do kościoła. Trzeba było dobrą godzinę siedzieć bez ruchu w ławce, pod baczynym okiem rodziców. Po nabożeństwie, ledwie konie ruszyły sprzed kościoła, zaczynaliśmy na bryczce ściągać buty, zdzierać wykrochmalone kołnierzyki, aby na granicy Bobrownik natychmiast wyskoczyć z bryczki i zamienić się w bosych, rozczochranych i brudnych chłopców, jakże szczęśliwych z pozbycia się wszelkich krępujących, znieawidzonych rekwizytów.

Nieznosny był też przymus jazdy do sąsiadów, bądź też ich przyjazdy do Bobrownik, kiedy zmuszano nas do grania roli gościnnych gospodarzy w stosunku do dzieci z sąsiednich dworów. Czasem nawet czyniliśmy wysiłki, aby naszych gości zabawić, ale widocznie metody nie były najlepsze, bo jakoś zwykle kończyło się wielkim krzykiem i płaczem.

Którejś niedzieli przyjechały do nas dzieci z Kluczevska — Staś i Krysia Konarscy. Matka ich, zawsze wytworna, miła, pachnąca dobrymi perfumami, rozmawiała z mamą, z którą od młodych lat przyjaźniły się serdecznie. Początkowo wszystko szło względnie dobrze — pokazywaliśmy im naszych psich ulubieńców, których te wypieszczone i starannie chowane dzieci nieco się bały. Potem jednak postanowiliśmy „zabawić” naszych gości w bardziej atrakcyjny sposób: obrzuciliśmy ich chrabąszczami — ślicznymi, brązowymi, błyszczącymi kulkami, które w nas samych nie budziły żadnego strachu ani obrzydzenia. Powstał krzyk, płacz, przerażona matka przybiegła na ratunek swoim pociechom...

Trzecią zmorą była nauka. Preceptorów, którzy mieli wbić nam do głowy różne mądrości, mieliśmy kolejno w Bobrownikach kilku. Nad siostrami czuwały inne osoby, z wszechwładną i miłą bez granic swoją „Terynię” Natalią Rybak na czele.

Najwyższą władzą i autorytetem był dla nas ojciec. Szanowaliśmy i liczyliśmy się z nim bardzo, mimo jego niezwyklej łagodności i wyrozumiałości. W stosunku do niego czwórka półdzikich chłopaków nie pozwalała sobie prawie nigdy na ekscesy, których ofiarą padali nieraz nasi nauczyciele — męczennicy.

W momencie wybuchu wielkiej wojny światowej najstarszy z nas, Janek, miał lat jedenaście, ja — dziewięć, Jerzy — osiem, Antek — sześć. Nasza gruba siostrzyczka kończyła cztery lata, Teresa miała zaledwie pół roku.

Z urywków rozmów prowadzonych przez starszych — czy to w domu, czy w podwórzu — wyłapywałem jakieś fragmenty, które nie w pełni mogłem zrozumieć. Sklejając potem z zasłyszanych wiadomości jakąś koszmarną całość — miałem wrażenie, że to, co dzieć się będzie, stanie się końcem świata. I... bałem się. Dziecięca wyobraźnia malowała straszne obrazy. Może najbardziej wpłynęła na to podsłuchana przypadkiem

rozmowa ojca z moimi wujami, którzy przed samą wojną wrócili z zagranicy. Omawiali oni najnowsze wynalazki wojenne, rodzaje broni produkowane przez zakłady przemysłu wojennego, i dowodzili, że gdyby jedna z tysięcy kul wystrzelonych z karabinów czy mitraliez miała zabić jednego człowieka, to po trzech miesiącach nie zostałoby na terenie wojny nikogo...

Utkwiło mi w pamięci zabieranie najlepszych naszych koni przez żandarmów rosyjskich oraz innych ludzi w nie znanych mi wojskowych mundurach. Byłem bezgranicznie zdumiony, że nawet nasz wszechwładny ojciec nie mógł tu nic poradzić. Po jakiejś tajemniczej rozmowie z urzędnikiem udało się ojcu wybronić od rekwizycji konie wyjazdowe. Nasze kuce zostały dla bezpieczeństwa ukryte w pomieszczeniu, gdzie mieścił się kierat — i tym sposobem ocalały.

Wojsk rosyjskich przybywało coraz więcej. Byli już oficerowie we dworze i pełno żołnierzy na wsi. Wieczorem zbierali się na środku wsi, pod krzyżem, i przez całe godziny śpiewali pieśni religijne. Zaczynał pięknym basem brodaty pop. A potem — rósł wspaniały chór, w wibrujących dźwiękach zawarta była wiara i ufność. Chwilami chór milkł, a odzywał się samotny, tęskny głos solisty — zapiewały. Melodię podchwytowało następnie kilkaset dźwięcznych głosów. A kiedy głosy milkły, wydawało się, że echo pieśni snuje się po nadpolicznych łąkach.

Kręciliśmy się wszędzie razem z braćmi — w podwórzu, we wsi, nad Pilicą. Byliśmy zbyt mali, aby zdać sobie sprawę z grozy i nieszczęść wojny. Troski pozostawialiśmy starszym. Życie stało się dla nas ogromnie ciekawe i pasjonujące. Lekcje odbywały się wprawdzie, ale już bez tej systematyczności, co dawniej, łatwiej było się od nauki wykryć. Starsi byli zajęci wówczas znacznie ważniejszymi sprawami, toteż i dozór nad nami był znacznie mniejszy.

Oficerowie i żołnierze nie przejawiali w stosunku do nas żadnych wrogich zamiarów, przeciwnie — obkarmiali nas cukierkami wyjmowanymi z kieszeni szarych szyneli.

Wielu z tych rosyjskich żołnierzy pamiętam do dziś. Kapitan Krycki — jego miłością była kara kłacz „Maja Mieczta”, która płaciła mu za miłość największym oddaniem. Jak się potem dowiedzieliśmy, była mu wierna aż do śmierci. Dobrze pamiętam wspaniałego *dieńszczyka* [ordynansa] Timofiejewa, który dbał jak najczulsza niańka o swego siwowłosego generała — Patowskiego.

Najbardziej jednak wyrył mi się w pamięć piękny pułkownik Naryszkiri, który wziął ze sobą na wojnę osiem wspaniałych koni. Nosilem im często razem z nim łupany cukier. Pułkownik ten, podobno niezmiernie bogaty, mnie polubił specjalnie i koniecznie chciał mnie od rodziców odkupić. Nie zrażony tym, że nikt nie brał pod uwagę jego absurdalnych propozycji, nalegał z uporem, zaklinał rodziców na wszystko, argumentując, że u nas jest aż czterech chłopców, a u niego dom, pusty...

Zapamiętałem z tego okresu przelot niemieckiego Zeppelina, który na dużej wysokości sunął z północy na południowy-wschód, w kierunku Kluczevska. Żołnierze strzelali do niego z karabinów. Któremuś przyszedł do głowy pomysł, żeby mnie, dziesięcioletniemu chłopcu, dać broń... Chwyciłem z zapalem ogromny rosyjski karabin, podtrzymywany zresztą przez Naryszkina, i strzeliłem. Poczulem ból ~ zemdlałem. Jak się okazało, karabin kopnął mnie potężnie w obojczyk. Z nosa połała się krew. Naryszkinowi dostało się od mojej matki, przerażonej wypadkiem.

Przyszedł moment, gdy i my odczuliśmy skutki wojny. Okazało się, że dalsze pozostawanie w Bobrownikach, gdzie przewidywano bezpośrednie walki na linii Pilicy

— stało się niemożliwe. Poza tym już te pierwsze miesiące wojny, stale kwatery wojsk rosyjskich, rekwizycje, w wyniku których majątek został w zasadzie ogołocony z żywności i inwentarza — uczyniły dalszy pobyt zbyt ryzykownym. Niezbyt mocny system nerwowy matki był mocno już nadwerężony, z czego ojciec dobrze zdawał sobie sprawę. A że dla swej ukochanej Wandziuni skoczyłby nawet w głębiny oceanu, więc i tu ustąpił jej żądaniom i zdecydował się na wyjazd. Postanowiono, że wyjedziemy do położonej w ziemi nowogródzkiej Lopusznej, majątku wuja matki, Romana Jodko-Narkiewicza.

Sama podróż z takim jak my drobiazgiem była mocno ryzykowna. Wyruszyliśmy całą karawaną. W wielkiej karecie, zaprzęgniętej w cztery cugowe konie, z Michałem Mireckim na koźle, jechała matka z kilkumiesięczną Terenią, Marychną, Antkiem i piastunką najmłodszych, Natalą. W mniejszym czarnym powozie jechał ojciec z trzema synami — Jankiem, Jerzykiem i mną, oraz zarządzająca domem pani Zofia. Wolantem jechała nauczycielka — Niemka, Fryda Bock i nasz korepetytor Winczakiewicz. Bryczką z częścią najcenniejszych rzeczy jechała pokojówka Dorotka. Na końcu szedł wóz z rzeczami.

Za Warszawą jechaliśmy długo w olbrzymim szeregu pojazdów — karet, wózków i wozów uciekinierskich, jadących jak i my na wschód w asyście wartowników rosyjskich.

W jakiejś miejscowości ojciec cudem znalazł izbę na nocleg. Ciasnota była tam straszna. W izbie spała matka z młodszymi dziećmi i jadącymi z nami kobietami. Ojciec, zdaje się, nie spał wcale, a my — Janek i ja, jako najstarsi, spaliśmy w karecie, przykryci jakąś dziurawą baranicą. Okno w karecie było wytłuczone, a noc jesienna — zimna, więc marzliśmy, skuleni jak psiaki. Cicho... w świetle latarni poruszał się miarowo cień wartownika rosyjskiego i jego długiego karabinu zakończony bagnetem. Wartownik



przechadzał się wzdłuż stojących pojazdów. Kilka razy zaglądał przez wybite okno do naszej karety i wzdychając mamrotał coś o „*biednieńkich riebionkach bieżeńców*”. Odchodził razem ze swym długim cieniem, a po chwili znów wracał. Był widać dobrym człowiekiem, a może miał gdzieś w głębi swego wielkiego kraju własne dzieci w naszym wieku, bo coraz serdeczniej i tkliwiej mruczał, patrząc na nas:

„*biednieńkie wy malcziki...* „. W końcu zdjął swój długi szynel i zarzucił przez okno na nasze zwinięte w kłębek postacie.

Potem pożegnaliśmy się z ludźmi, którzy wraz z końmi i pojazdami mieli wracać do Bobrownik. Dalszą drogę odbyliśmy w zapchanym, dusznym pociągu. Wysiedliśmy na stacji Nowojelnia w powiecie nowogródzkim. Stąd było jeszcze około osiemnastu kilometrów do Łopusznej. Było to chyba przed samą Wigilią 1914 roku.

Innego sposobu dostania się do Łopusznej nie było, jak tylko końmi przysłanymi przez dziadków. Należało ich powiadomić o naszym przybyciu. Zapadła decyzja, że cała rodzina rozlokuje się tymczasowo na stacji, zaś korepetytor Winczakiewicz wraz ze mną, najmocniejszym z dzieci, pojedzie najętym wózkiem do Łopusznej.

Tę drogę pamiętać będę zawsze. Jechaliśmy trzęsącym wózkiem zaprzężonym w małego, kudłatego konika. Woźnica — brodaty Białorusin — siedział bokiem tuż za koniem, z nogami zwisającymi prawie do ziemi.

Miałem jeszcze przed oczami rodzinę zgromadzoną przed stacją w Nowojelni, żegnającą mnie krzyżem *świętym*. Byłem trochę w strachu. Konik zmuszony początkowo przez wrzaski Białorusina do jakiegoś świńskiego galopu, szybko zwolnił. Ciemno i cicho, słychać było tylko przesypujące się przez szprychy koła zmarznięte grudki ziemi i poświstywanie woźnicy. Po jakimś czasie wjechaliśmy w gęsty las, zrobiło się jeszcze czarniej. Konik sapał chrapliwie, coś stukało w uprzęży, wózek podskakiwał na korzeniach lub też niepokojąco przechylał się i trzeba się było mocno trzymać, żeby nie wypaść.

Przejeżdżaliśmy przez liczne mostki, które budziły strach w koniu, bo boczył się i rozgłośnie chrapał, a chyba także i w woźnicy, który co chwilę zeskakiwał na ziemię. Raz spadło koło. Potem znowu koń nie chciał przejść przez bagienko na drodze, miejscami całkowicie rozjeżdżonej.

Umierałem ze strachu, nie mniej ode mnie bał się również Winczakiewicz. Wszystko jednak ma swój koniec — przed nami zabłyśły wreszcie jakieś światelka. Konik stanął przed żelazną bramą. Było około szóstej rano. Skończyć się już miała niedługo ta straszna grudniowa noc.

Na nasze wołanie zjawił się wreszcie ubrany w długi barani kozuch stróż nocny, mamrocząc gniewnie, że hałasy przed bramą pałacowego parku są surowo zakazane. Nasz woźnica wyjaśnił mu jednak, że przywiózł krewniaka właścicieli. Stróż wziął mnie na ręce i zaniósł do stangreta pałacowego, Borysa. Ten oddał mnie w ręce kamerdynera,

który akurat palił w piecach i kominkach. Postawiwszy mnie w jednym z pokoi i każąc czekać, zniknął gdzieś w głębi domu. Po chwili wrócił i spytał, jak mi na imię. Powiedziałem. Wtedy lokaj zaprowadził mnie do olbrzymiej sypialni, słabo oświetlonej dwiema amplami, gdzie ujrzałem moich nie znanych dziadków w dwóch ogromnych łóżach. Stałem nieco onieśmielony. Usłyszałem słowa: „*Toż to wykapana Wandzia! Jej syn, widać to od razu!* „,

Przespałem obiad i obudziłem się dopiero przed zmrokiem, słysząc głosy rodziców i braci, głośnie powitania i rozmowy. Z rozmów tych dowiedziałem się, jak bardzo niepokojono się o mnie — Jerzyk podobno zawiązał setki węzłów na sznurach od firanek w stacyjnym budynku.

Tak rozpoczął się nasz przeszło roczny pobyt w Łopusznej. Dziadkowie ulokowali całą naszą rodzinę w obszernej oficynie, którą mieliśmy tylko do naszej dyspozycji.

U wujostwa mej matki, Romanów Narkiewicz-Jodko, dzieci nie było. Ich jedyna córka Terenia jako kilkunastoletnia dziewczyna, ładna podobno i zdolna, zmarła po krótkiej chorobie. Tragiczna śmierć kochanej jedynaczki złamała zupełnie tych dwoje starszych już ludzi.

W czterdziestohektarowym parku wybudowali piękną kaplicę grobową, otoczoną kwiatami, które ich córka kochała za życia. Nieszczęśni rodzice co rano, bez względu na pogodę, szli do kaplicy, zaś wieczorami siadywali na tarasie od ogrodu, skąd rozciągał się widok na grobowiec.

Do oddanej nam do dyspozycji oficyny przylegała część parku, z której mogliśmy bez ograniczeń korzystać. Wizyty nas, dzieci, pozostałej części parku pobliżu kaplicy oraz w pałacu były bardzo ograniczone. Wszelkie hałasy były tam zakazane. Aby nie budzić wspomnień o zmarłej córce, moją najmłodszą siostrę, Terenię, nazywano jej drugim imieniem — Marta.

Tymczasem nieoczekiwanie wojna zaczęła się zbliżać i tutaj. Od zachodu dochodziły odgłosy armat, wieczorami niebo rozjaśnione było łunami. Kiedy złowrogie oznaki cichły na jakiś czas — ludzie miejscowi stwierdzali z ulgą: „*Odepchnęli Germańca* „. Potem jednak wszystko zaczynało się na nowo, z tym że pojawiały się ciągnące na wschód oddziały wojsk rosyjskich.

Przejeżdżający przez Łopuszną kozacy namawiali rodziców, żebyśmy przesunęli się dalej na wschód „na wielką ziemię”, co miało oznaczać — w głąb Rosji. Ale rodzice postanowili Łopusznej oczekiwać dalszego losu. Nie chcieliśmy jeszcze bardziej oddalać się od Bobrownik, do których tęskniła cała nasza gromada wygnańców.

Front zbliżał się coraz bardziej. Pałac pełen był już rosyjskich oficerów, wysuszających — jak mawiał dziadek Roman — piwnice Łopusznej.

Drewniana oficyna, w której mieszkaliśmy, nie była dostatecznym schronieniem przed pociskami artyleryjskimi. Przenieśliśmy się do murowanej baszty pałacowej,

której grube mury stwarzały choćby złudzenie bezpieczeństwa. Okna baszty wychodziły na północ, wschód i południe.

Przyszedł jednak taki dzień, kiedy Łopuszna znalazła się w bezpośrednim zasięgu ostrzału artyleryjskiego. Pociski padały w coraz to innej części parku. Polecono nam zejść kręconymi schodami do głębokich piwnic. Było to bardzo niemile: nudno, nie widzieliśmy, co się dzieje na świecie, czuć było swąd świec czy lamp naftowych. Toteż korzystając z każdej możliwości lub nieuwagi starszych, wymykaliśmy się do pokoi w baszcie, skąd można było obserwować tyle ciekawych rzeczy.

Kiedy nastąpiła cisza i ustał artyleryjski ogień, wrywaliśmy się do parku, oglądaliśmy lejowate doły po pociskach i znosiliśmy do domu całe masy żelaziwa w formie

wiórów i odłamków. Wojska regularnego już nie było, przejeżdżały tylko małe oddziały kozaków na kudłatych konikach.

Kilka razy jeszcze w ciągu następnych dni wznawiała się strzelanina i wtedy z powrotem wycofywaliśmy się do baszty.

Potem znów pojawiło się w Łopusznej wojsko, tym razem — niemieckie. Niewiele się jednak zmieniło — tak samo jak przedtem chłopci na widok munduru kłaniali się zdejmując czapki; tak samo pałac w większej swej części zajęty był na kwatery wojskowe; tak samo — albo i bardziej jeszcze — wojsko oczyszczało do końca piwnice z napojami.

Zaraz po wejściu Niemców rodzice rozpoczęli starania o uzyskanie od władz wojskowych zezwolenia na powrót do Bobrownik. Nie było to przedsięwzięcie łatwe. Koleje były w przeważnej części nieczynne, a nieliczne pociągi — przeznaczone dla wojska.

Zezwolenia na wyjazd udzielono. Pożegnaliśmy gościnną Łopuszną i tak dla nas dobrych gospodarzy.

Po pierwszej części drogi, odbytej końmi, wojskowa niemiecka ciężarówka dowiozła nas do Białegostoku, gdzie można już było starać się dostać do pociągu.

Przepustka podpisana przez jakiegoś generała miała magiczny wpływ na kolejowe władze niemieckie. Być może pomogła też liczna gromadka dzieci i uroda ich matki. Oddano nam parę przedziałów drugiej klasy, wprawdzie z wyprutymi prawie całkowicie siedzeniami, ale — jak na ówczesne warunki — luksusowych.

Po krótkim odpoczynku w Warszawie wyruszyliśmy koleją przez Kielce do naszej najbliższej stacji kolejowej — Włoszczowy. Stamtąd kilka żydowskich furmanek, zdobytych z trudem przez ojca, dowiozło nas do Kluczevska, do Maksymilianów Konarskich, gdzie z cudownie serdeczną gościnnością zostaliśmy przyjęci, nakarmieni i ułożeni spać.

Ulokowano nas w „tajemniczym”, jak go nazywaliśmy, salonie. Jego ściany pokryte były zrudziałym już ze starości płóciennym obiciem, na którym olejnymi farbami namalowane były obrazy — sam ich widok mógł wstrząsnąć dziecinną wyobraźnią. Jakaś podmokła puszcza z olbrzymimi drzewami, jeziora, tłumy fantastycznych, przedpotopowych zwierząt z wyszczerzonymi groźnie zębami, niedźwiedzie ścigające rajskie ptaki, krokodyle z uzębionymi paszczami... Znajdowaliśmy ciągle coraz to inne, coraz bardziej przerażające i spędzające nam sen z powiek szczegóły.

Dwór w Kluczewsku — drewniany, obszerny, był zbudowany na sztucznym kopcu ziemnym. Po lewej stronie dużego dziedzińca stała starsza chyba od dworu murowana, duża oficyna. Z drugiej strony domu — stary park, bardzo ładnie prowadzony, o wysokich żywopłotach z grabów. Grabowe szpalery były imponujące — widocznie poprzedni właściciele strzygli je coraz wyżej i w ten sposób powstały ogromne dziwołagi o przepłatanych konarach i gęstym, zbitym listowiu, stanowiącym raj dla wszelkiego ptasiego drobiazgu. Środkowa aleja parku obramowana była po obu stronach drzewkami cytrynowymi w olbrzymich drewnianych kadziach.

Po trudach długiej podróży odpoczynek w Kluczewsku był dla całej udręczonej gromady wędrowników prawdziwym błogosławieństwem. Mimo to najważniejszą sprawą dla rodziców i dla nas, starszych chłopców, było jak najszybsze dostanie się do Bobrownik. Najpierw — pojechał ojciec ze mną.

Jakimś cudem wieść o naszym powrocie już tam dotarła. Ponieważ poprzednio do Bobrownik doszła — pochodząca z niewiadomego źródła — wiadomość o śmierci właścicieli, witano nas tak, jakbyśmy rzeczywiście wracali z grobu. Płacz, szloch, uściski... Lecz była też troska w oczach ojca na widok dokonanych przez wojnę zniszczeń w domu i w podwórzu...

Po paru tygodniach porobiono konieczne remonty, w dużej zresztą mierze dzięki serdecznej pomocy sąsiadów, i jakoś można było już zamieszkać w tym zniszczonym wojną, ale zawsze kochanym gnieździe.

A później..., przysły na to z trudem odzyskane gniazdo złe, straszne dni, które odcisnęły na nas niezatarte piętno. Odeszła od nas matka, pozostawiając zupełnie złamanego nieszczęściem ojca i szóstkę osieroconych dzieci, z których — w tym tragicznym roku 1916 — najstarsze miało lat trzynaście, najmłodsze

— dwa...

Trudne to wszystko było do zrozumienia dla nas, a jeszcze chyba trudniejsze do przeżycia przez uwielbiającego żonę ojca. A jednak — musiał to przeżyć ze względu na pozostawione jego wyłącznej opiece dzieci.

My, starsi, byliśmy już w wieku szkolnym. Ojciec umieścił Janka i mnie na stacji w Kielcach, zaczęliśmy chodzić do gimnazjum. Młodszy mieli dopiero następnym roku składać egzamin do klasy wstępnej i pierwszej. Ojciec jednak, po długich namysłach,

podjął decyzję przeniesienia się w roku przyszłym z czwórką chłopców do Warszawy, a później — ściągnięcia tam reszty osierociałego domu.

Jedynie na święta i wakacje dojeżdżaliśmy do Bobrownik.

*Tadeusz Janota-Bzowski*

*Jest to fragment dwutomowych wspomnień Tadeusza Janoty-Bzowskiego (zmarłego w 1986) obejmujących lata 1904—77. Tytuł od redakcji.*

 [Wersja do druku](#) | [Mapa witryny](#)  [Poleć tę stronę](#)

Nowina 2012 Jacek Janota Bzowski